Rok IV.

Nr. 28. **Nr. 28.**

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

Ogłoszenia po $1^1/_2$ sgr. od drobnego wiersza.

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 11 lipca 1874.

Xięgarnia K. Rejzner (Chotomski) ulica Wodna Nr. 15, na rogu Wielkich Garbar.

O praktycznem stósowaniu cywilnéj odwagi.

Prośba do czytelników o pobłażliwość co do redakcji tego numeru. — List następujący doszedł nas w chwili, gdy już ustawiono dwa artykuły polemiczne nasze. Znany publicysta, jest jego autorem. Przez cześć dla niego woleliśmy go zaraz ogłosić, a zaniechać artykułu naukowéj treści. Ztąd ten numer jest za mało urozmaicony. Zkorzystamy z rad i uwag w liście tym nadanych w przyszłych numerach, które będą co do polemiki w sprawie naszéj głównéj „materjalnie“ znacznie skąpsze.

Szanowny Redaktorze! Miałem zamiar powinszować Panu inicjatywy do obudzenia w kraju naszym „Opinji publicznéj“ i złożyć należny hołd cywilnéj odwadze, jaką nacechowane każde słowo Jego w Tygodniku Wielkopolskim, gdy zostałem uprzedzony w tém przez kilku zacnych ludzi, których imiona umieszczone w Nr. 27 rzeczonego czasopisma. To mnie cieszy; jest bowiem dowód, że nie ja jeden wystąpiłbym w obronie niektórych zdań, jakie Pan ogłaszasz.

Proszę mi nie brać za złe, gdy chcąc być zrozumianym, wyznam otwarcie, że w wielu rzeczach z Panem djametralnie jestem sprzeczny, gdy powiem odważnie, że często nie zadowolniały mnie wcale rozprawy Tygodnika Wielkopolskiego, że uważałem ton pewnych artykułów za niewłaściwy poważnemu pismu, zakreślającemu sobie tak ważne pole działalności, zaznaczającemu tak ważny cel jakim jest: śmiałe wystąpienie przeciw zdrożnościom i błędom dla wyrobienia publicznéj opinji. Lecz z drugiéj strony dodam: iż pismo pańskie zacząłem czytać z coraz większém zajęciem, dostrzegłszy w redaktorze jego to, czego nam brak, co jest dla nas nieodbicie potrzebném, ledwie nie powiem kwestją życia lub śmierci, — dostrzegłszy szlachetną dążność do wytworzenia niezależności sumiennego sądu.

Zacny obywatel i znakomity nasz filozof Libelt dowiódł już wymownie, jak wielką cnotą i dobroczynném w skutkach dla narodu moralném narzędziem jest cywilna odwaga. Jego zasady, których on zawsze trzymał się w swoim publicznym zawodzie, przez co tak wielkie w kraju położył zasługi, Pan chcesz rozwinąć na większą skalę i zastósować je do życia publicznego za pomocą dziennikarstwa. Słusznie! W wyjątkowém położeniu naszém my nawzajem powinniśmy być bardzo surowi dla siebie.

> Nam zacnymi nie wolno być tylko w połowie,
> Co indziéj wadą, to się u nas **z b r o d n i ą** zowie,

a przynajmniéj zwać się powinno.

Atoli niech mi wolno będzie wypowiedzieć tu moje zdanie o tym przedmiocie, którym Pan z tak przykładną zajmujesz się gorliwością. Nie śmiałbym dawać rady. Pan jéj nie potrzebujesz i wiesz do czego dążysz. Wszakże ośmielam się zrobić kilka praktycznych uwag. Odrzucisz je lub przyjmiesz. Może z nich choć cokolwiek pożytecznego wypłynie.

Nie zgadzam się z przeciwnikiem Pana, który powiedział w numerze z dnia 4 lipca r. b. Gazety Narodowéj: „Wyznajemy szczerze i otwarcie, że nie lubimy takich programów“ (t. j. podobnych do tego, jaki Pan ogłosiłeś w Nr. 26 Tyg. Wielkopolskiego). A ja (jest to osobiste moje zdanie) wyznaję szczerze i otwarcie, że mi się ten program spodobał.

Nie zgadzam się z przeciwnikiem Pana, który mówi: „Trzymajmy się w tym względzie nauki Chrystusa: „„kto jest bez grzechu, niech pierwszy ciska kamieniem.““ To ogólnik, z którego już nieraz, jak z wielu słów Chrystusa, jak n. p. z owego: „Redde Caesari quod Caesaris“, jak z „nastawienia policzka“ i t. p. zrobiono potworne nadużycie. Nie rozumieją Chrystusa lub przekręcają jego słowa. Jakoż słowa wyrzeczone do zepsutego społeczeństwa, do faryzeuszów, a tyczące się głównie jawnogrzesznicy, nie dadzą się w każdém położeniu zastósować. Cóżby się stało z sądami wszelkiego rodzaju, gdyby literalnie trzymać się

téj zasady?!... Wszak Chrystus postronkami smagał i wypędzał przekupniów.

Ale zgadzam się w wielu rzeczach z autorem artykułu p. n.: „Słówko o Tyg. Wielkopolskim.“ Szczególnie przyznaję mu słuszność, gdy zarzuca brak systematyczności i pewnéj konsekwencji w przeprowadzeniu zasad i ich urzeczywistnieniu. Tylko mam mu za złe, że cytuje Tygodnik ze złą wiarą, przekręcając słowa. To się nie godzi.

Najgłówniejszy zarzut jaki poważam się zrobić Tygodnikowi Wielkopolskiemu, jest używanie zbyt wielkich sił do małych rzeczy.

Powiesz Pan: „Ależ to nie są rzeczy małéj wagi: odkrycie nadużyć, zawiedzenie publicznéj ufności lub tym podobne?“ Ani słowa pazeciwko temu. Lecz na cóż tak wiele o tém pisać? Na co zapełniać całe numera rozprawami i polemiką w jednym i tym samym przedmiocie?

To psuje architektonikę pisma, a więc chybia celu. Weźmy n. p. kilka numerów (a to jest wiele na tygodniowe pismo). Cóż w nich znajdujemy? Oprócz bardzo ciekawych szczegółów o Lelewelu, oprócz powieści i wierszyków, ogromne artykuły o trzech przedmiotach: o teatrze poznańskim, o Tellusie i o Matejce. Ztąd wypływa polemika bez końca, walka, któta nareszcie nuży czytelnika i niczego nie nauczy go. Dla tego odpadają prenumeratorowie.

Nie idzie za tém aby polemiki nie było wcale, lecz ta powinna nawet materjalnie trzymać się w pewnych granicach. Inaczéj bowiem na wiele równie ważnych rzeczy lub ważniejszych nawet, mówiąc po prostu, miejsca nie wystarczy. A przecież tyle jest do zrobienia!

Polemika postawiona na stroméj pochyłości pociąga za sobą coraz więcéj rosnącą kaskadę słów, niby kamieni z gór spadających, które najczęściéj kończą się walką osobistą, pełną zobopólnego rozjątrzenia. Z téj publiczność żadnéj nie odnosi korzyści. Szkoda na to wielkiéj, poczciwéj odwagi!

Przytém jest jeszcze jedna okoliczność, któréj nigdy z myśli tracić nie powinien ten, kto śmiało występuje do walki ze zdrożnościami. Chcąc kogo oskarżać i powołać przed sąd opinji publicznéj jako winowajcę, potrzeba mieć w ręku niezbite dowody jego przewinienia [1]). W przeciwnym razie strona oskarżona nazwie oskarżenie potwarzą. Potrzeba mieć za sobą siłę, ową siłę moralną, jaką daje prawda niczém nie pokonana. Inaczéj nic dziwnego, jeśli oskarżyciel będzie nazwany Don Kiszotem i narazi się na brutalstwa ze strony ludzi źle wychowanych, jak się to już zdarzyło.

Najlepsza sprawa na tém ucierpieć może.

Bankructwo Tellusa i sposób w jaki zostało dokonaném jest zbrodnią straszną, wołającą o pomstę do nieba; lecz czyż to pierwsza, czy to jedyna zbrodnia u nas popełniona? Wreszcie sprawców tego bankructwa opinja publiczna już potępiła.

Może mi Pan zarzucisz: „Trudnoż o wszystkiém mówić od razu! Zacznijmy od jednego. Zdemaskujemy jednych, na resztę przyjdzie koléj.“ Otóż w tém właśnie nie zgodziłbym się z Panem. Jeżeli ma być organ specjalnie poświęcony „wymiataniu głęboko zaległych brudów i śmiecia czy w Poznańskiém, czy w Galicji, czy gdziekolwiek bądź w ojczyznie naszéj“, niechże opinja publiczna czuwa pilnie nad każdym objawem pathologicznego stanu społeczeństwa, nad każdym czynem mogącym stać się szkodliwym dla społecznego organizmu, nad każdym, chociażby najdrobniejszym symptomatem, który przy zaniedbaniu zgubne na naród sprowadza następstwa. Ale z drugiéj strony niech będzie sprawiedliwą i nie potępia ludzi mających rzeczywiste zasługi; a razem niech staje w obronie szlachetnych czynów, zacnych zasad [2]).

Weźmy kilka przykładów. Z przykrością przychodzi czytać w Typodniku Wielkopolskim słowa pełne niechęci i żółci na redaktora Dziennika Poznańskiego. Trudno nie widzieć iż ten dziennik odznacza się wielkim taktem i niemałą cywilną odwagą. Mniemam iż nie przesadzę, mówiąc: że gdyby go nie stało, byłoby to klęską dla W. X. Poznańskiego [3]). Czemuż Tygodnik Wielkopolski nie zgromi z całą energją takich n. p. korespondencji, jakie się w tymże Dzienniku Poznańskim często pojawiają, a które z nieprzebaczoném zuchwalstwem targają się na człowieka ogromnych zasług: hrabiego Władysława Platera? Korespondencje podobne do tych, które pochodzą ze Szwajcarji z podpisem *ski*, wreszcie listy jakieś „z prowincji“ do Dzien. Poznańskiego: z Wschowskiego i t. d. olbrzymiéj są doniosłości. Wszak niedawno jeden korespondent (z) śmiał napisać te słowa: „Hr. Plater zapewne ogłosił był w swoim czasie projekt założyć się mającego muzeum narodowego w Rapperswyl. Dla czegoż więc, nim muzeum założoném zostało, dziennikarstwo nasze nie objawiło swojego: v e t o? Więc ów obywatel chce wskrzesić zasadę która nas potrąciła w przepaść! Pragnie nadać dziennikarstwu dyktatorską władzę! Jakto? Więc nie wolno poczciwemu człowiekowi poczciwie służyć ojczyznie, nie spytawszy wprzód o pozwolenie jakiegoś korespondenta albo dzienników?!... Cały ten spór rapperswylski jest hańbą dla narodu, zarówno jak dla tych, co go rozpoczęli; dowodzi bowiem niewdzięczności i upadku u nas i sumienia i logiki. Nie narzekajmy na Niemców, że z bezwstydną bezczelnością apoteozują barbarzyńskie prześladowania w djecezji chełmskiéj, o któréj owi „cywilizatorowie“ pojęcia nie mają, bo są niewolnikami namiętności; nie potępiajmy ich, jeżeli zaraza od nich tak łatwo na naród nasz ma się przenieść. Napady na hr. Platera są krzyczącym dowodem zażarliwości. One już doszły do najwyższego absurdum i są nieuczciwością [4]). Potrzeba nie mieć najmniejszego wyobrażenia o wpływie jakie tu muzeum wywiera na cudzoziemców. O Polsce Europa z każdym rokiem prawie coraz więcéj zapomina. Pomiędzy cudzoziemcami ludzie zwani „uczonymi,“ którzy wyobrażają sobie, że naród polski nie istnieje, że go już nie ma wcale. Najmędrsi statystycy pożerają z każdym rokiem po kilka milionow polaków; z każdym ro-

[1]) Zaręczamy, że bez tych nie zaczepilibyśmy nikogo; chowamy dowody atoli jako rezerwę i wtedy wejdziemy w szczegóły arcy-drażliwe ale przekonywające. (Przyp. Red.).

[2]) Tu właśnie trudność przeprowadzenia naszego celu w ogólnikach. Będziemy dla skuteczności zrywali po kolei maski patrjotyzmu. Usprawiedliwienie tego w przyszłym podamy numerze. (P. R.).

[3]) Do ostatniéj chwili żyłem w najlepszéj harmonji z panem Dobrowolskim, czegoś Pan (autor listu) był świadkiem w tym roku, gdyś przez Poznań do Szwajcarji przejeżdżał, bo i ja ulegałem poniekąd jego wpływowi i niedowierzałem temu, co mi o jego niesumienności mówiono. Nic nie miałbym przeciw niemu, gdyby nie był redaktorem, ale tylko współpracownikiem Dziennika, bo jako redaktor chwilowo zwichnął już téj najważniejszéj naszéj instytucji doniosłość, tak noszeniem płaszcza na dwóch ramionach, jak swemi stronniczemi intryżkami, jak tém, że baczył więcéj na swoje względy osobiste, niż na powinności redaktorskie takiego obywatelskiego pisma, jakiém jest Dziennik Poznański. (P. R.).

[4]) Otóż to co Pan sam mówisz o p. Dobrowolskim, jako o redaktorze Dziennika Poznańskiego. Tak samo i w innych rzeczach wprowadza w błąd opinję publiczną. Nie jestem bezwzględnym czcicielem hr. Władysława, dla jego śmiesznych słabostek miłości własnéj, ale z całéj duszy mu je wybaczam choćby tylko dla pomnika i muzeum jego. Daj Boże, ażeby każdy z nas był tyle co on użytecznym krajowi. Zdumiewające jego: ofiarność, sprężystość, wytrwałość, czynność, punktualność i t. d. czynią go ozdobą ojczyzny i rzeczywiście wielkim mężem (P. R.)

kiem okazują coraz mniejszą ich liczbę. Muzeum Raperswylskie przypomina im ciągle, że naród żyje; dowodzi jak żył niegdyś i jak żyje dzisiaj. Zarzucają hr. P., że nie zrobił formalnego rozporządzenia „własnością narodową.“ Ależ on to uczynił dawno przed zarządem szwajcarskim i ogłosił dokument! Nie poprzestają na tém. Żądają więc innego! Chcieliby prawa szwajcarskie przerobić!!! Zaręczają mu, że „nie zabezbieczył dość funduszów narodowych.“ Któżby myślał, czytając te wszystkie ohydne napady, że tam Bóg wie jakie kolosalne sumy, naród złożył. Tymczasem ze składek, hr. P. otrzymał kilka tysięcy franków a sto kilkanaście tysięcy franków dał swoich własnych, bądź w gotówce, bądź zapisawszy hipotekę długiem na swojéj ziemi, na swoim pałacu, na całym swoim własnym majątku! I nikt nie stanie w obronie hr. Platera! I nikt nie występuje publicznie przeciw téj niesprawiedliwości jego potwarców, przeciw bezrozumnym napadom!! Gdzież tu jest opinja publiczna?!

Rozpisałem się nieco dłużéj nad tém; ale bo też szczegół ten jest niezmiernie wymownym, nadzwyczaj charakterystycznym.

A to wszystko co się dzieje w różnych prowincyach kraju naszego! Co za bogaty materyał dla sumiennego, bezstronnego redaktora, poświęcającego tak jak Pan czas, prace, własne fundusze, wreszcie spokój dla dobra powszechnego, z odwagą i z bezinteresownością uwielbienia godną!

Co za szereg występków, chorób lub chorobliwych symptomatów!

Owa próżność i fanfaronada w Warszawie. Sprzedawanie majątków, ich utrata przez zbytki, oddawanie ziemi cudzoziemcom, ucieczka haniebna z placu, co widzimy w Koronie, na Litwie, Ukrainie, zarówno jak w Poznańskiém. Owo idjotyczne niedołęztwo rad powiatowych w Galicji, tak że są ludzie, którzy śmieją z tego powodu występować przeciw zasadom autonomji. Owo obrzydliwe niedołęztwo sejmowych posłów we Lwowie i delegatów w radzie państwa. Owa hotentocka ciemnota galicyjskich obywateli i wstręt ich do nauk, do książek, do wszelkiego światła. Owa obojętność magnatów pysznych (szczycących się swoją genealogją) dla wszystkiego co ma związek z naukami i sztukami. Owe intrygi nikczemne centralistów. Ów fanatyzm, bigoterja obłudna, w któréj każdy czci siebie przed święconym obrazkiem. Owe stowarzyszenia św. Wincentego à Paulo, św. Jana Kantego itp. które kraj tyle kosztują, gdy nędza i moralny upadek w kraju. Owe kazania pełne najgrubszéj głupoty. Owe wreszcie wyścigi konne, szulerstwa, pijatyki, gry giełdowe. Owa obojętność młodzieży na wszystko co narodowe. Owo występne zachęcanie młodzieży przez starszych do obrzucania błotem wszystkiego co święte. Owo szyderstwo z zapału, z poświęcenia wszelkiego. Ów rak toczący społeczeństwo nasze w rozlicznych postaciach, którego źródło w radzie szkólnéj lwowskiéj i jéj urządzeniach, a rozgałęziony w przewodnikach oświaty, w profesorach! Nie skończyłbym, gdybym chciał wszystwo wyliczać. W Krakowie wielkich złodziejów nazywają przeniewiercami, kradzież zprzeniewierzeniem się, niechlujstwo w domach i w dziedzińcach: poczciwym naszym starym zwyczajem, wszelki ruch na drodze oświaty: innowacją, manifestacją. We Lwowie, ludzie zbrukani biorą się do kierowania opinją publiczną. Ludzie nazwani „uczciwymi obywatelami“ ich wspieraja. Tam do dyskusji śmieją podawać tak monstrualnie niedorzeczne i przerażająco nikczemne pytanie, jak: „Narodowość czy postęp?“ Jak gdyby narodowość nie była pierwszym krokiem do postępu, pierwszym jego sine qua non warunkiem! W Poznańskiem nazywają „marzycielami“ tych co myślą o Polsce lub pracują dla Polski przedrozbiorowéj. I takie odstępstwo sztandaru narodowego uchodzi bezkarnie!

Te wady, te zdrożności, te zbrodnie Pan wytykaj bez żadnego względu, bez oglądania się na nikogo i na nic. Stawiaj złoczyńców pod pręgierzem opinji publicznéj. Ważnemi są zaiste sprawy teatru poznańskiego, Tellusa; ale równie ważnemi albo ważniejszemi są choroby moralne dopiero wymienione. Nazwij pan czasopismo swoje „Chłostą“, „Opinją publiczną“, „Trybuną“, „Strażnicą“, „Mównicą“, jak chcesz (bo ściśle mówiąc Tygodnik wyłącznie naukowym ani artystycznym nie jest); bądź prokuratorem, strażnikiem godności narodowéj i logiki; uorganizuj dla krótkich, treściwych sprawozdań, nie wielkie lecz światłe, bez przesądów, kółko korespondentów, czuwających nad publicznemi sprawami, bezpłatnych, lecz złożonych z ludzi sumiennych, umiarkowanych, rozsądnych, — a możesz być pewnym, że znajdziesz gorliwych współpracowników, że nie doznasz uszczuplenia liczby prenumeratorów, że pozyskasz liczne czytelników grono. — i naród kiedyś postawi Ci pomnik wdzięczności.

Racz szanowny Redaktorze przyjąć wyrazy mego wysokiego szacunku i poważania.

n—i.

Miłość macierzyńska i macierzyńskie szczęście.

Adalberta de Chamisso: „An meinem Herzen, an meiner Brust.“

Przy mojéj piersi, — przy sercu mém
Ileż rozkoszy!... Czy to jest snem?!...
Miłość to szczęście, — szczęście to miłość:
Prawdą — oh prawdą jest ta zawiłość!...
Jak najszczęśliwszą czułam się, — lecz
Dziś najszczęśliwszą mogę się rzec!
Li ta co karmi, — co dziecko swe
Kochając tuli: — co szczęściem wie!...
Li matką będąc można to znać:
Co to jest kochać, — co życie dać!...
O! jak żałuję ja męzki ród
Że mu nieznanym zachwytów cud!...
I ty me dziecię uśmiechasz się!...
O mój aniołku, — wierz, — nie wątp' — nie!...
Ty przy méj piersi, — cały twój byt
Z wszystkich szczęść ziemi — to szczęścia szczyt!...

Wł. hr. Ch.

Noc letnia.

v. Eichendorff: „Es war als ob der Himmel die Erde stillgeküsst.“

Było — jak gdyby Bóg ziemię
Ukoił ojcowską pieszczotą,
Z wdzięczności stroiła go w duchu
W blask kwiatów, tęcz, ptaszyn i w złoto.

Wiatr wonny ochładzał jéj lica;
Szum kłosów i szmery kryniczne
Liść dąbrów drżał w świetle xiężyca,
Noc lśniła się w gwiazdy przeliczne.

Toż duszą płynąłem tak błogo,
Przez ciche téj ziemi uciechy,
Jak gdybym podążał tą drogą
W próg własnéj rodzinnej méj strzechy.

Wł. hr. Ch.

Sposób na szybkie zbogacenie się.

(Z francuzkiego).

Chcesz szybko mieć, — uczciwie majątek w kieszeni,
Kup tego za to co wart, — sprzedaj: jak się ceni.

Wł. hr. Ch.

Dwa głupstwa.

Dwa głupstwa wiodą ludzi wielkim nieszczęść torem:
Jedném z nich: strach o przyszłość, — a drugie: honorem.
Pierwsze: brak wiary w wszechmoc Pana Boga budzi,
Drugie za wielka wiara w moc i względy ludzi.

Wł. hr. Ch.

Tajemnicza szkatułka.

Powieść osnuta na prawdziwém zdarzeniu.

(Ciąg dalszy.)

IV.

W kilka dni po owéj zabawie pan dyrektor siedział w swoim pokoju w wygodnym, haftowanym fotelu, zajęty czytaniem gazet — paląc hawańskie cygaro i zapijając kurzącą się mokka. Na jego poważnéj i opasłéj twarzy nie było już śladów doznanych niedawno miłosnych zawodów. Wtém wszedł do pokoju służący i oddał kartę wizytową mówiąc, że jakiś pan nieznajomy czeka w przedpokoju.

„Juljan Melville de Paris, agent d'une compagnie d'assurance pour la vie" (agent stowarzyszenia zabezpieczenia życia) przeczytał dyrektor pod nosem.

— Czy téż ani w własném mieszkaniu nie można mieć spokojności, — mruknął rozpierając się w fotelu, a potém obracając się do służącego, rzekł opryskliwie:

— Czemuż nie powiedziałeś temu panu, że jestem do mówienia w biórze rano od 10 do 12, a po obiedzie od 4 do 5.

— Powiedziałem to, — odpowiedział służący, — lecz ten pan nie chce się oddalić.

— I wygadałeś się, że jestem w domu?

— Powiedziałem mu tylko, że nie wiem z pewnością.

— Dobrze, więc idź i powiedz mu, aby się stawił w mojém biórze pomiędzy czwartą a piątą. Tam zastanie mnie z pewnością.

Służący wyszedł.

— Ci namolni Francuziska, — mruczał dyrektor kręcąc się na krześle; mają się za takie ważne osoby, że każdy im zaraz wyskoczy na usługi. A cóż to takiego będzie? Mam zapewne polecać ich stowarzyszenie, wyrobić mu konsens w naszym kraju... Albo może chce na mnie samym zrobić dobry interes, mam zabezpieczyć moje życie w jego stowarzyszeniu? — mówił daléj z jakimś wyrazem gorżkiéj ironji; mam ja zaiste już za życia dość do myślenia, a bardzo mnie to mało obchodzi co się potém stanie. I dla kogożby się zabezpieczać?... Stary kawaler pod tym względem bardzo się ma dobrze. Gdy popłaci wszystkie rachunki i zapisze się do jakiéj kasy pogrzebowéj, może spokojnie oczekiwać chwili, gdy zostanie w tę daleką powołany drogę. Więc panie agencie nic z tego, by ci się udało zemną jaki zrobić interes...

— A jednak kto wie, — mówił daléj z lekkim uśmiechem, — gdyby mnie hrabianka Łucja była wysłuchała, byłbym się może był czuł spowodowanym nietylko za życia, lecz i po śmierci dbać o nią. Ale po onym zajściu w lesie książęcym! — Ale cóż tam! zostańmy sobie starym kawalerem i basta!

Wnijście powtórne służącego przerwało ten monolog dyrektora.

— Ten nieznajomy pan życzy sobie koniecznie widzieć się z jaśnie panem, — rzekł. — Powiada, że ma pilny interes prywatny, nie cierpiący zwłoki. Że przeprosi osobiście za natrętność.

— Więc niech przyjdzie, — rzekł dyrektor tupnąwszy niecierpliwie.

W kilka minut potém wszedł do pokoju ów pan, którego już napotkaliśmy kilka razy w przeciągu téj powieści, i który w tajemniczy sposób do niéj wplątany się zdaje. Był to młody człowiek, przystojny i dość wytwornie ubrany. Jego pewne i śmiałe wzięcie oznajmiały w nim na pierwszy rzut oka człowieka energicznego i pełnego silnéj woli.

— Pan dyrektor wybaczyć raczy, że śmiem odwiedzić go w czasie może niezbyt stósownym, — rzekł zbliżając się śmiało do dyrektora, który wstawszy z fotelu postąpił ku niemu kilka kroków.

— Bardzo proszę, — odpowiedział dyrektor i wskazał mu miejsce na kanapie.

— Mniemałem, iż będę tu mógł bezpieczniéj pomówić z panem w interesie, który tymczasowo pozostać musi głęboką tajemnicą pomiędzy nami, — mówił daléj młody nieznajomy, siadając na naznaczoném mu miejscu.

Obaj panowie spozierali na siebie badawczo przez chwilę.

— W biórze są zawsze podrzędni urzędnicy, którzy lubią podsłuchiwać to co miarkują, iż ma być przed nimi ukryte.

Dyrektor dał głową znak przyświadczający.

— Dla tego więc pozwoliłem sobie odwiedzić pana tutaj, gdzie zapewne żadne ucho niewezwane słyszeć nas nie będzie, — rzekł nieznajomy oglądając się badawczo w około.

— Pod tym względem możesz pan być zupełnie spokojnym, — zapewnił dyrektor.

Nieznajomy ukłonił się i rzekł ciszéj:

— Oprócz intendentury książęcéj posiadasz pan, jak słyszałem, urząd dyrektora policji i jako do osoby ten ostatni piastującéj urząd, udaję się do pana. Zajmują mnie bowiem stósunki jednego z gości przybyłych tu na kurację niedawno, za którym umyślnie przybyłem.

— Ale z jakiegoż to powodu? — zapytał nieco niecierpliwie dyrektor.

— Z polecenia stowarzyszenia zabezpieczenia życia, w imieniu którego mam zaszczyt występować.

— Tu u naszych wód? — rzekł dyrektor z ironją. — Nasze źródła są tak skuteczne, że kiedy kto tu przybywa, spodziewa się przedłużyć sobie życie nieskończenie, — a ci którzy się tu dla zabawy zjechali — a takich jest najwięcéj — nie są tak przezorni, by pomyśleli, co się po ich śmierci stanie. Ich hasłem jest: „après nous le delnge"*). Więc stowarzyszenie pańskie nie zrobi tu świetnych interesów.

— Pan mnie nie rozumiesz jeszcze, — rzekł nieznajomy, który pojął łatwo, iż dyrektor umyślnie słowom jego inne nadał znaczenie, by się pomścić niejako za to, że mu przeszkodził w odpoczynku poobiednim. — Nie przybyłem tu by nowe interesa zawierać, lecz by już zawarte kontrolować.

— Ah przepraszam pana, teraz rozumiem. Więc gość tutejszy, którego stósunkami się pan zajmujesz?..

— Jest pan... lecz proszę o najściślejszą dyskrecję.

— Przyrzekam panu słowem honoru moich obudwóch urzędów, czy pan przestajesz na tém? — rzekł poważnie dyrektor.

— Przestaję, — rzekł agent kłaniając się. — Jest to hrabia Rikoczy, na którego cała moja uwaga zwrócona.

— Hrabia Rikoczy? rzekł dyrektor zdziwiony niezmiernie. — Hrabia Rikoczy, który tu od dni kilku bawi z żoną i siostrą?

— Ten sam, — zapewnił agent; — który od dziesięciu miesięcy został wdowcem, a od sześciu już jest ożenionym kowtórnie.

— Czy tak? — O tém nie wiedziałem nic, lubo mam zaszczyt znać się z tym panem... to jest powierzchownie, zwykle taka znajomość jak to u wód, — dodał śpieszno dyrektor. — Jako intendent tutejszy jest przy-

*) „A niechby po naszéj śmierci i potop świata przypadł!" — przysłowie sobków francuzkich.

tém moim obowiązkiem czynić honory przybywającym gościom, a przytem robi się tak wiele znajomości, iż trudno się zajmować kimś szczegółowo.

Agent uśmiechnął się znacząco, jak gdyby chciał przez to okazać, że wie coś więcéj o stósunkach dyrektora do rodziny hrabiowskiéj.

Dyrektor wymówił te wyrazy od niechcenia. Chciał bowiem pokryć przez nie wzruszenie, które mimowolnie okazał na wzmiankę o rodzinie Rikoczy, a przytém chciał także i to zatrzeć, co agent już wiedzieć się zdawał, to jest: że hrabiance Rikoczy udało się zbałamucić go; jego starego bumlera, który się wstydził szczeréj skłonności, gdyż w życiu swojém jeszcze jéj nie doznał, co może pochodziło z jego stanowiska jako intendenta książęcych źródeł mineralnych, gdy co lato miał sposobność zapoznawania się z wielu młodemi i pięknemi osobami, z których jedna zacierała wrażenie, które poprzednia na nim uczyniła. Tém przykrzéj było mu więc, że właśnie tam gdzie się zakradał na serjo — został niemiłosiernie odrzucony.

Bystremu umysłowi agenta nie uszło bynajmniéj, że dyrektor wzruszył się bardzo na imię hrabiego Rikoczy.

— Więc pan znasz osobiście hrabiego, — rzekł, — dobrze, będziesz mi pan może mógł dać niejakie o nim objaśnienia.

— Objaśnienia? — powtórzył dyrektor kręcąc się niespokojnie na krześle. — Wątpię bardzo, powiedziałem już panu, że znam tylko powierzchownie, możnaby powiedzieć z widzenia hrabiego. Bo cóż to jest, choć się z kim kilka grzecznych słów zamieni.

— Może późniéj zaszczycisz pan tego hrabiego większą uwagą, — rzekł agent z ironją. Zwierzenie, które panu uczynić zamierzam...

— Lecz przystąpmyż do rzeczy mój panie, przerwał mu niecierpliwie dyrektor. — Nie domyślam się dotąd jeszcze bynajmniéj przyczyny, która mi przyjemność odwiedzin pańskich sprowadza.

— Jest to bardzo delikatna materja, — odrzekł agent wzruszając ramionami, — i dla tego waham się nieco.

— Ależ zapewniłem cię już panie Melvil o mojéj dyskrecji; człowiekowi mego stanowiska milczenie o słyszanych sprawach staje się drugą naturą, choćby go nawet obowiązek nie wiązał, a więc przystąpmy do rzeczy.

Tém zapewnieniem czuł się agent niejako zmuszony do rozpoczęcia następującego opowiadania:

— Hrabia Rikoczy będąc przed rokiem w Paryżu z pierwszą swoją żoną, zabezpieczył w naszém stowarzyszeniu życie téjże na 100,000 franków. Ta pani, zaledwo 25 lat licząca, była podług świadectwa własnego jéj lekarza i lekarzy naszego stowarzyszenia zupełnie zdrową. Przystano więc bez najmniejszego namysłu na zawarcie ugody zabezpieczenia jéj życia. Pierwszą ratę opłaty, wynoszącą około 4,000 fr., złożył hrabia i potém wyjechał z żoną z Paryża, jak mówiono, dla przejechania się po Niemczech południowych. Tam wybuchła właśnie w owych czasach cholera. W trzy miesiące później przesłał naszemu stowarzyszeniu pewien rzecznik paryzki, jako pełnomocnik hrabiego Rikoczy, świadectwo śmierci hrabiny i polisę zabezpieczenia w celu odebrania sumy 100,000 fr., dodając, że hrabina zmarła we Wiedniu na cholerę.

Tu agent poprzestał mówić, jakby oczekując, jakie wrażenie zrobiło na dyrektorze jego opowiadanie.

Ale twarz urzędnika nie okazywała najmniejszego zdziwienia, spozierał zupełnie spokojnie i po chwili namysłu rzekł z niejakiém szyderstwem w głosie:

— A to przykro było naturalnie waszemu stowarzyszeniu, że musiało zapłacić 100,000 fr. za przejażdżkę pięknéj pani, która była tak lekkomyślną i na wasze stowarzyszenie bezwzględną, iż nie umiała strzedz się przed cholerą.

— Pan uważasz rzecz tę z bardzo niewinnéj strony, — rzekł Melville.

— Może tylko z bezstronnéj, mój panie, — rzekł dyrektor.

— My inaczéj rzecz tę sądzimy.

— Zapewne, ponieważ panowie — to jest wasze stowarzyszenie, ponieśliście ztąd szkodę! — zawołał dyrektor z ironją.

— Wolno panu myśleć co się podoba, — rzekł agent nie obruszając się bynajmniéj ironijnemi uśmiechami dyrektora. — Uważamy każde życie zagrożoném, które się u nas tak wysoko zabezpieczy. Zagrożoném w naturalny lub nienaturalny sposób.

— Jest to troskliwość kapitalisty o swój kapitał, — rzekł znów dyrektor ironijnie.

— Jest to w naturze człowieka, iż jest w takich przypadkach podejrzliwym, — rzekł spokojnie agent.

— A jednak odważacie się przyjmować takie zabezpieczenia, w celu osiągnięcia możebnego zysku; — ryzykujecie kapitał, — mówił dyrektor. — Jest to gra w karty, którą stowarzyszenie wygrać się spodziewa. Ale gdy przegra, wtenczas utrzymuje, że przeciwnik miał fałszywe karty lub znaczone kostki. To tak zwykle się dzieje. Biedny hrabia! — westchnął dyrektor z komicznym wyrazem.

— Zmienisz zapewne swe zdanie szanowny panie dyrektorze policji, jeżeli raczysz mnie wysłuchać daléj, — rzekł Melville.

Dyrektor skłonił się lekko na znak przyzwolenia, jednakże z jego ust nie znikł uśmiech ironijny a w oczach malował się wyraz tak wyraźnego niedowierzania, że trzeba było silnéj i stanowczéj woli i zupełnéj pewności siebie, jaką zdawał się agent przejęty, aby tenże mówił daléj.

— Hrabia ożenił się więc w kilka miesięcy po śmierci swéj pierwszéj żony.

— Czyż chcielibyście go, człowieka w najlepszych latach, skazać na bezżeństwo? — przerwał dyrektor. — Ale wspomnienie nagłéj śmierci jego pierwszéj żony, zdaje się, iż nie zagasło tak prędko u stowarzyszenia zabezpieczeń życia, jak u jéj małżonka, — mówił ze śmiechem.

— Ze słusznych przyczyn, — odrzekł agent z przyciskiem. — Hrabia znał teraźniejszą żonę, która była przyjaciółką zmarłéj, dawno zanim tamta umarła. Pospieszył więc korzystać ze swego oswobodzenia, by się ożenić z przyjaciółką.

— Nie dziwię mu się wcale, gdyż zdaje się, iż to bardzo przyjemna osoba.

— Tak przyjemna, że ją uwielbiał nawet za życia pierwszéj żony, choć mu to właściwie uczciwość wzbraniała, — przerwał agent z ostrym przyciskiem. Hrabia prowadził korespondencję z teraźniejszą żoną już za życia przeszłéj.

— Wszakże powiadasz pan, iż ona była jéj przyjaciółką, — zauważył dyrektor.

— Lub też rywalką. Stósunki hrabiego z teraźniejszą żoną zdają się bardzo ścisłemi już od dawna.

— Tego się pan domyślasz tylko.

— Te domysły stwierdziłyby się łatwo, gdyby można przejrzeć ich korespondencję.

— Ale szkoda tylko, że oboje nie jesteśmy dość zaznajomieni z hrabią, by żądać tak wielkiego dowodu zaufania, — rzekł dyrektor z złośliwym uśmiechem, który w nim ciekawa mina agenta wzbudziła.

— Może się późniéj zdarzy jeszcze sposobność do tego, — rzekł agent niedbale. Tymczasem nie jest to koniecznie potrzebném, ponieważ okazują się jeszcze ważniejsze wskazówki.

Na te słowa dyrektor zastanowił się i zdawał się słuchać z uwagą.

— Agent wiedeński naszego towarzystwa — mówił daléj Melville — otrzymał polecenie wywiedzieć się o bliższych okolicznościach śmierci hrabiny. Ten dowiedział się pomiędzy innemi, że hrabina w ostatnich chwilach, korzystając z krótkiéj nieobecności męża, kazała przywołać do siebie gospodarza hotelu gdzie mieszkała i temu oddała małą szkatułeczkę z usilną prośbą, by takową odesłał niezwłocznie jéj przyjaciółce, teraźniejszéj hrabinie Rikoczy. Ta mieszkała wtenczas w M... jak to świadczył adres napisany na szkatułce.

— I cóż mogło się znajdować w téj szkatułce? — zapytał dyrektor.

— Zapewne papiery, gdyż była bardzo lekką, — odrzekł agent. — Ale te papiery musiały być nadzwyczajnie ważnemi dla umierającéj hrabiny.

— Zapewne listy zastawne, akcje lub coś podobnego, — dorzucił dyrektor.

— O nie, — odpowiedział agent z uśmiechem. Takowych nie posiadali wówczas hrabiostwo; byli oni przeciwnie w bardzo przykrych stósunkach majątkowych.

— Lub téż może korespondencje lat młodocianych dwóch tych pań, która im była bardzo drogą, — rzekł znów dyrektor.

— I tego nie można przypuścić, — mówił agent, — bo w tym razie czemużby umierająca nie miała oddać szkatułki mężowi? Czemuż wolała zupełnie nieznajomego człowieka użyć do przesłania téj szkatułki swéj przyjaciółce? Zależało jéj widocznie na tém, by ta szkatułka nie dostała się w ręce jéj męża.

Przeciwko tym wywodom nie miał dyrektor nic do nadmienienia. Spoglądał niepewném okiem około siebie, mrucząc pod nosem jakąś piosenkę.

— Słuchaj pan mojego zdania, — przerwał mu te trylery agent. — W szkatułce znajdowały się objaśnienia przyczyn, które zwolna czy nagle sprowadziły śmierć hrabiny. A przyczyny te pochodziły od jéj męża, ponieważ chciała utaić przed nim swoje domysły.

Wypowiedziawszy te objaśnienia agent spozierał na dyrektora, jakby chciał wybadać z jego twarzy, jakie na nim zrobiły wrażenie. Ale ten rzekł wesoło:

— Doprawdy, pan masz niezmiernie wybujałą wyobraźnię, niejeden powieściopisarz mógłby jéj panu pozazdrościć.

— Do téj tak czysto z rzeczywistości zdjętéj powieści nie potrzeba ani trochę wyobraźni, — rzekł Melville z goryczą, zniecierpliwiony niepojętą dlań nieudolnością dyrektora.

— Lecz cóż jest właściwie jądrem czyli punktem kulminacyjnym téj romansowéj tkaniny? — zapytał dyrektor.

— Hrabia Rikoczy zabezpieczył najpierw w kilku stowarzyszeniach bardzo wysoko życie swéj żony, — mówił agent z przyciskiem, — potém zatruł ją i udał się w miejsce gdzie grasowała cholera, chcąc korzystać z zamieszania, które panuje w miastach w takim razie. Potém ożenił się z dawną swą kochanką, przyjaciółką zmarłéj. Tak przez swą zbrodnię osiągnął cel podwójny. Został wolnym, mógł ożenić się podług wyboru serca i odebrał ogromną sumę od towarzystw zabezpieczenia życia zmarłéj żony. Ta domyślała się zapewne przyczyn swéj śmierci i chciała w ostatniéj godzinie objawić je swéj przyjaciółce, bądź by ją zniewolić do odkrycia wykonanéj na niéj zbrodni, bądź by ostrzedz swą dawną przyjaciółkę.

— A ta przyjaciółka mogłaby się odważyć oddać rękę wdowcowi, który otruł swą pierwszą żonę! — zawołał dyrektor. — Zaiste hrabina Rikoczy może imponować taką odwagą. Téj odwagi mogła jéj chyba dodać szalona miłość lub gwałtowna żądza pieniędzy, które hrabia odziedziczył po żonie.

— Może obadwa te powody skłoniły ją do tak śmiałego kroku.

— Więc hrabia nie posiadał własnego majątku?

— Zrujnowany był do szczętu za życia pierwszej żony, — odpowiedział agent.

— A jego siostra Łucja czy jest majętną? — zapytał dyrektor mimochodem.

— Nie znam stósunków majątkowych téj osoby, — odrzekł agent niby równie obojętnie. Jéj brat posiadał podobno przeszło 100,000 tal., więc i ona zapewne tyle mieć będzie.

— Hm, krząknął dyrektor z namysłem. Lecz to nas nic nie obchodzi.

— Kto wie? — pomyślał przebiegły agent.

Oboje umilkli na chwilę.

— Gdybyśmy mogli dostać ową szkatułkę, łatwoby było przez nię dojść wszystkiego, — rzekł nakoniec agent.

— Pani hrabina nie da się skłonić bezwątpienia do wydania téjże, — odparł dyrektor.

— Zapewne, bo jako małżonka hrabiego powinna ile możności starać się o to, by zbrodnicza przeszłość jéj męża na jaw nie wyszła, — rzekł Melville. Zachowuje ona bezwątpienia bardzo starannie ową korespondencję.

— Tego można się po jéj roztropności spodziewać.

To mówiąc dyrektor wstał, jakby chciał dać znak agentowi, że nie ma ochoty rozmawiać z nim dłużéj. Melville podniósł się także i rzekł stanowczo:

— Nie myślę bynajmniéj poprzestać w moich poszukiwaniach; jestem pewny, że osięgnę mój cel choć i bez pomocy władz rządowych.

— Bez tych będzie się panu trzeba obejść, — rzekł sucho dyrektor; — możesz pan widzieć z mojego postępowania, iż nie wierzę bynajmniéj w rzeczywistość straszliwéj powieści pana. A przytém nie mogę przecież w mojéj podwójnéj godności: jako intendent kąpielni książęcych i dyrektor policji występować przeciwko jednemu z najznakomitszych naszych gości z oskarżeniami, które mniéj więcéj są zupełnie bez podstawy.

Na tę niezbyt grzeczną odprawę agent ukłonił się i postąpił ku drzwiom, lecz pan dyrektor postąpił ku niemu i rzekł w poufalszym tonie:

— Zresztą radzę panu, abyś z temi oskarżeniami nie występował przed nikim tak jawnie jak przedemną, mógłbyś pan łatwo uwikłać się w proces injuryjny, któregoby pan hrabia Rikoczy nie zaniedbał bezwątpienia, gdyby się o intrygach waszych dowiedział.

— Da on temu pokój, — rzekł agent wstrząsając pogardliwie głową. — Lecz aby dojść do celu, trzeba mi zapewne być ostrożnym; o tém wiem bardzo dobrze panie dyrektorze.

— To słusznie, — rzekł dyrektor. — My tu w naszych dobranych towarzystwach nie cierpimy szkandalów, które mogłyby szkodzić naszym gościom. Wystaw sobie pan jakiby się to zrobił rozruch, gdyby w jakikolwiekbądź sposób wystąpiono przeciwko panu hrabiemu Rikoczy, a potém wykazała się bezzasadność tego. To byłoby szkaradnie! Wszyscy goście uczuliby się obrażeni; dziennikarstwo podniosłoby alarm i okrzyczało nasze wody; a na mnie ciężyłaby odpowiedzialność za to wszystko w obec wyższéj władzy.

— Pojmuję zupełnie trudność położenia pańskiego w takim razie, — rzekł agent z żywością.

— Ależ panie Melville, — zawołał dyrektor, — chciéj mnie pan zrozumieć; nie należę bynajmniéj do tych, którzy — jak to mówią — małych złodziei wieszają a wielkich puszczają. Ale jak już powiedziałem, ja całą tę rzecz z innéj biorę strony. Hrabia Rikoczy, straciwszy pierwszą żonę, zyskał przez to majątek i wolność i użył ubudwóch tych dóbr, by zadość uczynić da-

wnéj miłości. Pan hrabia należy więc do tych rzadkich śmiertelników, którzy — jak mówi nieśmiertelny Shakespeare: „Na falach morskich płyną ku szczęściu.“

— Lub ku szubienicy, — dodał agent złośliwie.

Dyrektor pogroził mu z uśmiechem. — Oj, nie przekręcaj pan zdania głęboko myślącego poety, bo i tobie roją się romansowe powieści po głowie. Czy pan zostajesz tutaj jeszcze czas niejaki? zapytał jeszcze odchodzącego agenta.

— O tak, — odpowiedział tenże.

— To dobrze; używaj pan pilnie kuracji naszego źródła, służy ono głównie na cierpienia wątroby, które się zwykle usposobieniem hipokondryjném objawiają. Odniesiesz więc pan tę korzyść, że się wyleczysz z swych czarnych podejrzeń. Życzę panu jak najlepszego powodzenia. I to mówiąc pan dyrektor zamknął drzwi za odchodzącym.

— Mój anonim w koszyku nie skutkował, — mruknął agent idąc po schodach; — ten głupiec zakochany po uszy w pięknéj hrabiance, nie chce ani słuchać o procesie śledczym przeciwko jéj bratu, lubo wina tegoż jest zupełnie niewątpliwa. Muszę więc dalszych wiadomości oczekiwać a w potrzebie do wyższych władz się odwołać.

Po odejściu agenta pan dyrektor przechodził się spiesznym krokiem po pokoju. Wiadomości tegoż zrobiły na nim daleko głębsze wrażenie, niż to po sobie okazywał. — Gdyby doprawdy było w tém coś prawdziwego, myślał. Pozory są rzeczywiście dość trafne. Ale dla tych trudno wystąpić przeciw hrabiemu. Jego siostra wzgardziła mną, świat powiedziałby, że przez zemstę obwiniam hrabiego, całe moje stanowisko ucierpiałoby na tém, gdyby się późniéj to wszystko jako kłamstwo wykryło. A potém moje stósunki z tą rodziną są tak świeże, tak wszystkim znajome, że lepiéj byłoby dla mnie gdyby ją ta skarga nie tak wcześnie i nie tutaj spotkała — gdyżby to i mnie skompromitować mogło. Nie, nie chcę mieć nic do czynienia obecnie z tą szkaradną sprawą, dodał machając ręką. Niechaj grób przeszłéj hrabiny Rikoczy porośnie trawą — ja go nie myślę niepokoić.

Pan dyrektor uważał to swoje postanowienie jako bardzo szlachetne. Stanął przed zwierciadłem, poprawił czuprynę, która w szybkim biegu posunęła się i odkryła świecącą łysinę i rozważał daléj, jakby to niejeden na jego miejscu skwapliwie pochwycił tę nadarzającą sposobność pomszczenia się na rodzinie, która za dumną była, by przyjąć za szwagra człowieka jego zasług i godności.

Potém usiadł pan dyrektor przy biórku i zaczął pisać swe urzędowe sprawozdania, lecz nic nie chciało mu się kleić; jego myśli wracały bowiem ciągle do powieści francuzkiego agenta. Przytém musiał mimowolnie uznać, że wzięcie hrabiego miało coś odrębnego, że hrabia starał się unikać wszelkiéj poufałości — lecz bynajmniéj nie z dumy, ale raczéj z jakiéjś dziwnéj nieśmiałości czy lękliwości. — Tak, tak, jest coś niepewnego, niespokojnego, nietylko w jego osobistości, ale i w sposobie życia jakie wiedzie. Nie będzie to bez kozery. I znowu wziął pióro i zaczął pracować, ale nie mógł w żaden sposób zgromadzić myśli. Wstał więc, wziął kapelusz i laskę i wyszedł na przechadzkę. Tutaj dopiero rozpierzchłe myśli starego kawalera zaczęły nabierać pewnego utoku i splatać się w siatkę, w którą zdołałby może ułowić dumną hrabiankę Łucję i skarać ją za wyrządzoną mu zniewagę, lub upokorzyć przynajmniéj. Słowem, nadarzała mu się świetna sposobność odwetu, która go nawet do pożądanego mogła doprowadzić celu.

Dyrektor należał do rzędu tych przebiegłych dyplomatów, którzy z każdéj okoliczności korzystać umieją. Podły z natury, lubił przywdziewać na siebie pozór szlachetności, wyzuwał się z niego łatwo, gdy tego korzyść jaka wymagała. Teraz nie mógł sobie jeszcze wytworzyć wybitnego planu, osnutego na bezpodstawnych oskarżeniach francuzkiego agenta; lecz był gotów korzystać z zbiegu okoliczności, by złowić w swą matnię piękną i bogatą hrabiankę.

(Ciąg dalszy nastąpi).

O naukach Gazety Narodowéj danych Tygodnikowi i słówko o popularnych wykładach.

Jeżeli się nie mylemy, w Gazecie Narodowéj w numerze 150, z 4 lipca, feljeton: „Słówko o Tygodniku Wielkopolskim“ — jest pióra p. Danielewskiego Ignacego. To nas rozbraja, wyznajemy. Jeżeli się mylemy co do autorstwa, — to nie mylemy się co do porządku myśli i ducha tego feljetonu, — parafrazy filipiki z Gazety Toruńskiéj, podanéj co dosłownie na str. 208 naszego pisma. Gdyby nie był ten feljeton taki długi — umieścilibyśmy go znowu dosłownie, — jako dowód naszego twierdzenia.

Jak w owéj korespondencji w Gazecie Toruńskiéj, — zaczyna od: „co miał abonentów i wzięcia zaprzepaścił już całkiém.“ — Znowu o „historji Tygodnika“, — o naszéj słabości heraldyjnéj wyjątkowéj dla hrabiego Platera, — o naszém nieuctwie, i cytując słowa Gazety Toruńskiéj, kończy o naszym „donkiszotyzmie we walce.“

Ale zmieniwszy nieco styl — „chce wierzyć“ w naszą „uczciwą wolę i dobre chęci“, — a brylantowo roztacza swoją głęboką wiedzę o parallaxie.

Bijemy czołem przed jego wiedzą astronomijną i upraszamy go, ażeby raczył (ale bezpłatnie) oświecać naszych czytelników. Poprzednio jednak niech sobie to wbije w pamięć, że popularne artykuły naukowe nie mają na celu rzetelnéj nauki, — bo téj trzeba koniecznie szukać w specjalnych xiążkach. Tu celem tylko zachęcenie do uczenia się, — jak i danie tylko najgrubszego pojęcia o środkach, — a ostatecznym celu jakiegoś doświadczenia. Bardzo słusznie téż Ognisko Nr. 21, 24 i 28 (Inowrocław), a po niém Gazeta Lwowska (Nr. 149) pisze co następuje:

Ludzie prawdziwéj nauki uczuwali zawsze wstręt do podobnych popisów; słuchajmy, co o nich mówi pewien oxfordzki profesor, wezwany, aby przyjął udział w wykładach, urządzanych w londyńskiém Ateneum:

„Łaskawy Panie! Na uprzejmy list Pański przychodzi mi odpowiedzieć z żalem, że wzrastająca praca zatrzymuje mnie przy obowiązkach moich w Oxfordzie. Mojém zdaniem zresztą manja wykładów jest największą klęską naszych czasów. Wszyscy chcą tylko słuchać, nikt nie chce czytać i myśleć. Wszyscy pragną przez godzinę doznawać miłego łaskotania uszu, bawić się i w lot posiąść wiadomości, na których gruntowne nabycie potrzeba połowy życia. Ogół pragnie utrzymać tę wiedzę osłodzoną, przyprawioną jak najapetyczniéj, sprowadzoną do jak najmniejszych pigułek, w prawdziwie homeopatycznéj dozie. Zdaje się potém słuchaczom, że są uczeni; jest to namiętném życzeniem współczesnego nam tłumu, lecz nie w ten sposób przychodzi się do nauki Można wprawdzie mówić o żywym komentarzu, jaki się ma dać żądnemu nauki audytorjum nad

książką, do któréj zrozumienia uczniowie nasi dokładają starań. Ale wasze nowoczesne odczyty, podawane wśród soku poziomkowego, lodów, ponczu lub mleka, są obrzydłą i zaraźliwą próżnostką. Nieszczęśliwy zgon biednego Dickensa, który mógłby był pisać znakomite dzieła do 80 roku życia, gdyby go nie były wstrzymały na téj drodze niewczesne żądania, powinienby posłużyć za ostrzeżenie dla wszystkich. Korzystajmyż z niego. Z Bożą pomocą będę i nadal pisał wedle sił moich. Ogłosiłem trzy tomy moich odczytów w Oxfordzie, w których każdy frazes z jak największą troskliwością jest obmyślany. Jeźli współobywatele moi sądzą, że się odemnie czego nauczyć mogą, niechaj czytają te książki; jeśli zaś tego czynić nie zechcą, nie mam i ja ochoty gawędzić z nimi o tém. Sługa Pański. — Ruskin."

Ale wróćmy jeszcze na chwilkę — do Gazety Narodowéj.

Odsyłamy po prostu co do parallaxy objaśnienia autora feljetonu — do pierwszéj lepszéj encyklopedji, — niech się raczy przekonać — że mierzenie jakieniebądź niedostępnéj długości za pomocą projekcji punktu pośrednio leżącego, uważanego z dwóch stanowisk, nazywa się mierzeniem parallaxy, która to nieznana poszukiwana długość tak się nazywa, a wewnątrz kąty linji krzyżujących się — odpowiednie podstawie i parallaxie, są kątami parallaxy.

Co się zaś tyczy zasad moralności chrześciańskiéj, — a mianowicie pobłażliwości, to wybaczamy z całéj duszy tym, co nam osobiście dokuczają lub co nas oszukują, — lecz nie możemy mieć tych względów dla takich, co krzywdzą lub oszukują ogół i przełamują te zasady najbezczelniéj na stanowiskach publicznych, — a tylko takich się czepiamy, tylko takich stawiamy pod sąd opinji publicznéj — niech ona sądzi i wyrokuje, bo nie „uzurpujemy" sobie, ale z natury rzeczy jesteśmy — prokuratorem opinji publicznéj, jakim każdy redaktor być powinien, — a sumienie nasze dotąd pozwala nam uśmiechać się na wrzaski tych, co się na nas oburzają, — bo mamy wiarę — że „przeciw prawdzie — rozumu nie ma."

ROZMAITOŚCI.

Słówko o Orędowniku w obronie prof. dr. Szafarkiewicza.

Nie piórem to, ani książką
ale niesprawiedliwością giną narody.
(Śniadecki.)

Orędownik w Nr. 76 pisze co następuje:

„Tygodnik Wielkopolski" w ostatnim swym numerze zaczepił p. prof. dr. Szafarkiewicza prezesa Towarzystwa Przemysłowego, jednego z najzasłużeńszych obywateli, w tak niecny sposób, że ogólne powstało oburzenie w mieście naszém we wszystkich warstwach ludności polskiéj, która lepiéj zna zasługi pana dr. Sz., aniżeli p. hrabia Chotomski, redaktor „Tygodnika." Tego rodzaju napaści na ludzi pracy i zasług, jakimi jest p. prof. dr. Szafarkiewicz, nie dyskretują, odsłaniają tylko zgniliznę, jaka ogarnia nasze dziennikarstwo od pewnego czasu."

Zaręczamy, że nie połowa, ale — krom bardzo licznych popleczników dr. Szafarkiewicza cała myśląca a uczciwa ludność Poznania nam przyklasnęła i dotąd przyklaskuje.

Mamy do dr. Szymańskiego, redaktora Orędownika atoli żal, że pozwolił ten ustęp umieścić w swém piśmie, bo ono utraci może na wziętości w klasie rzemieślniczéj, któréj przodowało, — a ta nie pojmie tego: że dr. Szymański — jako dłużnik kasy pożyczkowej, — musiał to wydrukować co mu kazano, — gdyż jakeśmy powiedzieli w Nr. 26 „redakcja Orędownika zawisła od koterji kosmopolityczno-finansowéj," na któréj czele stoji, a przynajmniéj stał dotąd dr. Józef Szafarkiewicz. Z resztą poprzestajemy na tém cośmy powiedzieli, — bo zapewniano nas, że nietylko podano na nas skargę do sądu o oszczerstwo i obrazę, — ale i śledzą najstaranniéj całą przeszłość naszą i zbierają podpisy dla p. prezesa na adres jemu dziękczynny a nas potępiają i — nie zdziwiłoby nas wcale gdyby i o biciu medalu na uczczenie jego zasług obywatelskich nas doszła wiadomość. Dowodów na obronę naszą dostarczy rachunkowość Kasy Pożyczkowéj i Tellusa oprócz tych, które nam dziś już służą, — i czekamy spokojnie końca, aż się wykażą „wielkie owe prace i zasługi" ale i ujemne strony, o których Orędownik nie chce wiedzieć; — ale odsłonią dostatecznie „zgniliznę" jaka w tego prezesa popleczników gronie jistnieje, — i w któréj obronie stawa Orędownik.

Jako ciekawość zamieszczamy następującą przepowiednię, wyjętą z Gazety Polskiéj, wychodzącéj w Chicago w Ameryce:

Wróżba i sen to mara,
W Bogu najsilniejsza wiara.

W Monachium, w klasztorze XX. Franciszkanów, umarł w czerwcu roku 1873 xiądz, nazwiskiem Tranquil Wolfgang. Pozostawił on po sobie następującą przepowiednię, która ma się ziścić od roku 1874 do 1890.

W roku 1874 ustali się rzeczpospolita hiszpańska. We Francji wynikną nowe zaburzenia. — Całe Włochy staną pod bronią. — Rządy Francji otrzymają nowego naczelnika. — Papież Pius IX pożegna się z tym światem.

W r. 1875. Pomiędzy Włochami i Francją przyjdzie do wojny. — Wojska włoskie oblegną Paryż. — Armia francuska zostanie zwyciężoną. — Włochy obsadzą Algier. — W Korsyce, Nicei i Sabaudji zajdzie głosowanie narodowe. — Austrję nawiedzi powódź.

W r. 1876. Paryż podda się w miesiącu marcu. Na wyspie Korsyce wręczone będą warunki pokoju. — Korsyka, Nicea i Sabaudja przypadną do Włoch. — Rewolucja w Hiszpanii i zmiana rządu. — W Rossji pomór. — Xiążę Fryderyk wstąpi na tron cesarza niemieckiego. — Rewolucja w Anglji,

W r. 1877. Komunizm i głód we Francji i Hiszpanji. — W Rzymie zbierze się kongres europejski. — Nowy papież pogodzi się z Włochami. — Cała Europa stanie pod bronią. — Francja rozpadnie się na 4 państwa. — Powódź i burze we Włoszech. — Niesłychany mróz w Niemczech.

W r. 1878. Nowy europejski kongres zbierze sie w Berlinie. — Wiktorja, królowa angielska umiera. — Nowe rządy we Francji. — Chrześcijaństwo w Turcji uzyskuje wolność. — Zaburzenia w Portugalji, w Polsce i Węgrzech. — We Francji cholera. — W Bawarji wymyślą lekarstwo przeciw cholerze.

W r. 1879. Wielkie burze w Anglii. — Pokój ogólny. — Ogólne rozbrojenie i odkrycie na morzu. — Okropne prawa na tych, którzy rządy przeciw rządom podburzają. — Papież broni się przed uciemiężeniem, reformuje kościół i znosi zakon jezuitów.

W r. 1880. Nowy pokój zajaśnieje. — Car moskiewski schodzi ze świata. — Narody poddadzą sobie dłoń bratnią. — Rólnictwo, praca, przemysł i handel zakwitną. — W Monachium zajdzie ważne odkrycie. — Cała Europa upadać będzie w szczęściu. — Papież błogosławi wszech ludom i pokój potrwa aż do r. 1890.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Władysław hr. Chotomski. — Czcionkami drukarni L. Merzbacha.
Główny skład w Poznaniu w księgarniach J. K. Żupańskiego i K. Reyznera.